

nowa
proza
polska

Jerzy Pilch

Moje pierwsze
samobójstwo



Świat Książki

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Na okładce obraz René Magritte'a „The voice of silence”
Agencja The Bridgeman Art Library
© ADAGP, Paris and DACS, London 2006

Redaktor serii
Paweł Szwed

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Maria Fuksiewicz

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk
Bożenna Burzyńska

Copyright © by Jerzy Pilch 2006
Copyright © for the Polish edition by Bertelsmann Media sp. z o.o.,
Warszawa 2006

Świat Książki
Warszawa 2006
Bertelsmann Media sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1937-2

Nr 45003

Spis treści

Najpiękniejsza Kobieta Świata

Moje pierwsze samobójstwo

Wszystkie historie

Sobowtór zięcia Tolstoja

Rękopisy człowieka z moich stron

Duch cudownych znalezisk

Miłość ściętej głowy

Trup ze złożonymi skrzydłami

Rozdział o nieruchomo siedzącej postaci

Śnieg przez dwie trzecie doby

Najpiękniejsza Kobieta Świata

I

Jak przychodzi wielka miłość, to człowiekowi zawsze się zdaje, że pokochał najpiękniejszą kobietę świata. Ale jak człowiek faktycznie pokochał najpiękniejszą kobietę świata – może mieć kłopoty.

Jeśli nie była Najpiękniejszą Kobieta Świata w sensie ścisłym, to należała do pierwszej dziesiątki najpiękniejszych kobiet świata, a jak nie do dziesiątki, to do setki – szczegóły bez znaczenia; była olśniewająca w sensie planetarnym.

Zobaczyłem ją i popełniłem błąd frajerski – zamiast poprzestać na podziwie – postanowiłem ją zdobyć.

Zobaczyłem ją na pewnym bankiecie, to znaczy, po raz pierwszy i na żywo zobaczyłem ją na pewnym bankiecie; wcześniej setki razy widywałem jej podobiznę na rozmaitych fotografiach, reklamach, plakatach i billboardach. Jej słynne oblicze zdeprawowanej madonny, które tak ekscytowało fotografów, operatorów i reżyserów, było powszechnie znane. Bankiet odbywał się w ogrodach zachodniej ambasady. Był to bardzo doniosły, bardzo rytualny i bardzo doroczny bankiet. Na towarzyskiej giełdzie zaproszenie na ten bankiet uchodziło za nadzwyczaj wartościowy papier.

Wyjątkowość bankietu szło też poznać po tym, że w ogrodach ambasady, oprócz wirtuozersko władających sztuką bankietowania bywalców, błakali się zagubieni intelektualiści, którzy na żadnych bankietach nie bywali, ale mieli w dorobku prace poświęcone kulturze zachodniego kraju, którego ambasador wydawał bankiet. Wyróżniali się archaicznymi garniturami, nieumiarkowanym łakomstwem i wielkim entuzjazmem. Gdy zblazowani bywalcy wyznawali im, że nienawidzą bankietów – starali się ich jakoś pocieszyć i zachęcali do jedzenia, picia i zabawy. Zblazowani bywalcy, którzy na wszystkich bankietach truli posępnie, iż nienawidzą bankietów, i znajdowali dla swych wyznań równie posępny posłuch wśród innych zblazowanych bywalców bankietów, również nienawidzących bankietów – w osłupieniu spoglądali na krzepkich, uśmiechniętych i rozpalonych szampanem staruszków, którzy nieoczekiwanie, żelaznym chwytem łapali ich za łokieć, wiedli ku zastawionym stołom i rozglądając się, z tryumfem wykrzykiwali:

– Ależ skąd ten smutek, młody człowieku! Należy dostrzegać słoneczne strony życia! Dziś zwłaszcza! Tu zwłaszcza! Cóż za wspaniałe przyjęcie! Proszę koniecznie coś zjeść! Proszę! Pyszna rybka! Pyszna wędlinka! Pyszna sałatka! – i wtykali w zblazowane ręce talerz, i nakładali kopiaste porcje, i podtykali je pod zblazowane oblicza. – Proszę koniecznie coś zjeść! A potem napitki czekają! Trunki przednie! Proszę się raczyć! – i zagubieni, a w istocie czujący się w ogrodach ambasady jak ryby w wodzie, intelektualiści mrugali łobuzersko i swawolnie nurkowali w falujący tłum.

Był parny, lipcowy dzień. Od zachodu sunęły na Warszawę chmury ciemne jak ołów i lekkie jak elektrycz-

ność. Najpiękniejsza Kobieta Świata przez dobre dwie godziny nie ruszała się z miejsca. Krążyłem wokół.

Z początku nie zauważałem, że krążę; ze szklanką wody niegazowanej łąziłem – jak mi się zdawało – po ogrodach ambasady, bez celu. Do nikogo specjalnie się nie garnałem. Do mnie też nikt. Odruchowo starałem się unikać czatujących na ofiarę nudziarzy. Po kolejnym bankiecie taka umiejętność sama wchodzi człowiekowi w krew. Czatujący na ofiarę nudziarze są jak strzelcy wyborowi na wojnie – sieją śmierć. Jakoś mi się udawało. Jeden wprawdzie nudziarz, w cywilu bezbarwny felietonista o zacięciu niepodległościowym, zdołał mnie namierzyć, zbliżył się, zaczął głądzić, tysięczny raz opowiadał, jak został pojmany w stanie wojennym; już myślałem, że polegnę, ale z bliska wyszło, że napastnik, pomimo wczesnej pory, jest już wyraźnie trafiony – zgubiłem go bez trudu. Sam oczywiście nie piłem ani kropli – w głębi duszy nie wykluczałem wprawdzie, że jeszcze tego wieczoru, zamknąwszy się szczelnie i samotnie w domu, odbezpieczę flaszkę, ale tu – nie było mowy.

Kiedy trzeci raz mijałem Najpiękniejszą Kobietę Świata, zrozumiałem, że krążę, i to krążę po coraz ciaśniejszych orbitach. Stała w pobliżu jednego z licznie na trawnikach rozstawionych wiklinowych foteli. Palila papierosy, co było wśród histerycznie zatroskanych swym zdrowiem gwiazd rzadkością; stała i nie ruszała się z miejsca. Raz po raz pojawiał się koło niej jakiś stremowany i napięty jak struna bywalec, ale wszyscy oni wiotczeli i odpadali prędko.

Robiłem coraz mniejsze okrążenia. Już dobrze widziałem jej nogi, które przemierzały najbardziej prestiżowe wybiegi świata; jej ramiona, które sezon w sezon spowiadały najdroższe kreacje Diora, Versacego, Lagerfelda

i Montany; jej włosy pachnące najdroższymi szamponami globu; jej dekolt śmiało pokazujący profil słynnego biustu, który na krótko oświetlały reflektory hollywoodzkich wytwórni filmowych. Na krótko, bo wielkiej kariery jako aktorka nie zrobiła. To znaczy, owszem, piętnaście lat temu zagrała niewielką rolę stewardesy, podającej drinka Harrisonowi Fordowi, co i tak było marzeniem ściętej głowy większości zawodowych aktorek europejskich, ale po tym epizodzie kolejne propozycje z przysłowiowego worka się nie posypały. Ma się rozumieć: w niczym jej to – przynajmniej w moich oczach – nie umniejszało. Przeciwnie. Była w tym logika. Jej niesamowite piękno rozstrzygało o jej losie. Nic poza tym nie wchodziło w grę. Mówiąc na odwrót, czyli wprost: we wszystkim, za co – poza własnym pięknem – próbowała się brać, była raczej drewnem. A brała się, niestety, za rozmaite rzeczy. Nagrała płytę z własnymi piosenkami – głównym ich walorem była prawie całkowita bezszmerowość. Wydała tomik wierszy – katastrofa rzadka, bo krwawa i zarazem pozbawiona wyrazu. Malowała i urządziła wystawę swoich prac – o Chrystusie Panie! Szczerze mówiąc, nawet jej sekundowa kreacja aktorska u boku Harrisona Forda była – zwłaszcza jak na ułamkowy czas – bezbrzeżna. Pocięcha, że u boku takiego wirtuoza każdy – a specjalnie początkujący artysta – wypada blado, była marna.

Ale jej klęski nie miały znaczenia wobec jej piękna. Bo jakież miało znaczenie, że była żadną piosenkarką, nędzną poetką i mizerną malarką, kiedy w zetknięciu z nią najwięksi śpiewacy tracili głos, najwybitniejsi poeci nie wiedzieli, co powiedzieć, a najoryginalniejsi malarze sikali w portki z wrażenia?

Byłem już blisko tego piękna. Byłem blisko i nie byłem napięty jak struna – trząsałem się jak galareta.

– Cieszę się, że panią widzę żywą – wydusiłem z siebie absurdalną krzywiznę. Chciałem oczywiście powiedzieć: „Cieszę się, że widzę panią na żywo”, co miało być rytualną i bezpieczną frazą wielbiciela, który zna swoją idolkę z kina, z telewizora oraz z tysięcy fotografii i obecnie wyraża ekstazę, iż widzi ją w rzeczywistości. Zamiast tego wyszła mi z nerwów jakaś, bo ja wiem, powypadkowa albo pozawałowa kwestia. „Cieszę się, że panią widzę żywą” brzmiało przecież, jakby ona dopiero co umknęła z jakichś śmiertelnych zagrożeń, a o niczym takim nie było wiadomo. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Spojrzała na mnie i roześmiała się nieoczekiwanie głośno. Najwyraźniej, że użyję polszczyzny literackiej: mój niefortunny lapsus ją rozbawił.

– Też się cieszę, że widzę pana żywego – powiedziała z lekkością, a mnie natychmiast ta lekkość legła na mózgu jak ołów.

Przecież niemożliwe, zacząłem gorączkowo kombinować, żeby ona wiedziała, że ja dwa tygodnie temu zdychałem w sensie ścisłym. Skąd by to miała wiedzieć? Zamknąłem się w domu, zasłoniłem żaluzje, wyłączyłem telefony, z nikim nie gadałem, nigdzie nie wychodziłem, tyle, co do całodobowych delikatesów William... Jak do sklepu się czołgałem, to ktoś mnie przyuważył i natychmiast na miasto wieść poszła? To było możliwe. Starąłem się, jak umiałem, ale zawsze w końcu trzeba było wyjść do sklepu... Tak, ktoś mnie widział, jak do całodobowych delikatesów William się czołgałem; innej możliwości nie było.

To znaczy była możliwość, że ona bez ubocznej myśli odpowiedziała, że odpowiedziała mechanicznie, że dla wzmożenia dowcipu jak echo moje niezręczne zagajenie powtórzyła. Taka możliwość istniała, a nawet była wysoce prawdopodobna, ale żeby ją ze spokojem przyjąć, mu-

siałem otrząsnąć się z urazu. Na tym punkcie miałem gigantyczny uraz. Ile razy ktoś się mnie z całą neutralnością pytał: Jak zdrowie? Jak się czujesz? Jak żyjesz? Wszystko w porządku? Ile razy takie esemesy dostawałem, ile razy takie pytania w słuchawce albo wprost zadane słyszałem – tyle razy nie byłem w stanie po ludzku i z bagatelnością odpowiedzieć, ale zawsze kurczyłem się ze strachu i zawsze, zanim odpowiedziałem, uginałem się pod tonowym pytaniem: Skąd on wie? Skąd ten wszarz wie, że ja znowu sięgam? I teraz to samo, a nawet jeszcze gorzej, bo przecież w stwierdzeniu: „Cieszę się, że widzę pana żywego”, jest nie domysł, ale pewność mojego upadku. Trudno – pomyślałem – w sumie nawet lepiej, że ona wie o moich przypadłościach. Przy najmniej nie będzie przykrego zaskoczenia, jak zaraz po ślubie pójde w długą.

– Faktycznie, ledwo żyję – powiedziałem ostrożnie. – Szczerze mówiąc, całkowicie wykończony jestem.

– To niedobrze – odparła z niezmiernie subtelną macierzyńską intonacją – niedobrze. A nawet źle. Bardzo źle.

– Miałem nauczyciela rosyjskiego, który tak samo mówił. Identycznie.

– Proszę? – nie, żeby momentalnie się usztywniła, ale niewątpliwie spłoszyła się i była na drodze do całkowitego usztywnienia. W sumie nic dziwnego. Od kilkunastu lat w polskich szkołach nie było już nauczycieli rosyjskiego, dalej jednak przywołanie nawet widma nauczyciela języka rosyjskiego budziło kłopotliwe skojarzenia. Wiodocześnie Najpiękniejsza Kobieta Świata była, jak wielu Polaków, boleśnie uwrażliwiona na Moskwę. Najpewniej wyniosła to z domu.

– Miałem nauczyciela rusycystę – celem ukojenia jej traumy zacząłem opowiadać gorączkowo i w pośpiechu –

fantastyczny to facet był, bardzo go lubiliśmy. Też przez to, że był nie tylko inteligentny, ale i wyrozumiały. Nie przesadzał w egzekwowaniu wiedzy. Nie, żeby pozwalał łązić sobie po głowie, ale – mimo wszystko – na bardzo wiele pozwalał. Co pewien czas, mniej więcej raz na dwa miesiące, ogarniał go jednak szal niezmiernej surowości. Wkraczał do klasy z niezmiernie surową miną, z niezmierną surowością wywoływał do tablicy i niezmiernie surowo, i w całkowitym milczeniu, wysłuchiwał odpowiedzi. Nie przerywał, nie poprawiał, nie odzywał się. Słuchał wijącego się jak piskorz delikwenta bez słowa, a gdy tamten wreszcie skończył, mówił: Bardzo źle.

Śmiała się, śmiała się cały czas, jak opowiadałem, śmiała się i to było dobre, ale też trochę drażniące, bo jak przyszła pointa, ona dalej śmiała się tak samo i na dobrą sprawę nie było wiadomo, czy w ogóle końcówkę historii zauważyła i doceniła. Nie drażyłem tego jednak. Daleskie, jeszcze żółte i niespieszne nitki błyskawic przecinały ciemny horyzont. Trzy, a może cztery burze szły na miasto.

– Bardzo dobrze – powiedziała (a jednak zauważyła i doceniła) – bardzo dobrze. U mnie ma pan z odpowiedzi wysoką notę. Ale bardzo źle, że pan ledwo żyje. To jest bardzo źle, i to trzeba zmienić.

– Co trzeba zmienić?

– Życie. Życie trzeba zmienić.

– Wie pani, życie trudno zmienić. Życie raczej się nie zmienia. Chyba, że na gorsze. A od pewnego momentu, wyłącznie na gorsze.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wzmocnić tonacji pesymistycznej, a nawet, czy pedału pesymizmu nie docisnąć do dechy, ale odpuściłem. Pesymizm i gorycz to był równie pewny, co standardowy sposób wzniecania

w kobietach pocieszycielskich odruchów; jej wszechogarniające piękno przestrzegąo jednak przed graniem na pamięć.

– Jak mi pan jeszcze powie, że nie ma pan dla kogo zmienić swojego życia na lepsze, i jak mi pan wymownie przy tym zajrzy w oczy, to sytuacja będzie wprawdzie jasna, ale zakończona.

Trudną, bardzo trudną – dla frajera wręcz niemożliwą do przyjęcia piłkę posłała w moim kierunku – ale o ile w przyjmowaniu słabych piłek jestem z nudów kiepski, o tyle trudne piłki mnie uskrzydłają i wspinam się na wyżyny.

– Oczywiście, że nie mam dla kogo zmieniać mojego życia na lepsze. Tyle że to akurat wisi mi głęboko. Niech mnie pan Bóg broni, żebym ja miał i samo moje życie, i cokolwiek w moim życiu dla kogoś zmieniać. Za bardzo jestem sam do siebie i do własnej samotności przyzwyczajony, i za bardzo to cenię, żeby zmieniać. Jak mi pani powie, że gdy pojawi się w moim życiu prawdziwa miłość, to ja na pewno będę z zapalem zmieniał moje życie na lepsze; jak mi pani tak powie i zajrzy przy tym znacząco w oczy, to sytuacja też będzie jasna, i też zakończona.

Wiedziałem, że nie jest w stanie z taką rotacją puszczoną riposty dobrze odebrać, ale też nie przewidziałem, że pójdzie na unik.

– Sytuacja jest jasna – powiedziała z irytującą nieomylnością. Sytuacja jest jasna. Pan nie ma pojęcia o życiu. Pan nie wie, co to jest życie.

– A co to jest? – pozorowałem irytację, a nawet furję w głosie; nie było już odwrotu, gra szła ostro. Jak uzna mnie za wariata – przegrałem. Jak w przypiływie próżności poczuje dumę, że udało jej się wyprowadzić mnie z równowagi – wygrałem. – A co to jest, najmocniej prze-

praszam, życie? Proszę mnie łaskawie oświecić, bo faktycznie nie wiem.

– Oczywiście, że pan nie wie. Niby znawca dusz, literat, teoretyk wszystkiego, a zielonego pojęcia nie ma.

Poległem, w tym momencie poległem definitywnie i – powiedziałbym – dalekosiężnie. Poległem, ponieważ z frajerską pychą uznałem, że wygraną mam w kieszeni. Jak kobieta przystępuje do pozornie ostrej, a w istocie czulej ofensywy, wygraną przeważnie miewa się w kieszeni.

– Ależ oczywiście, że nie mam o niczym zielonego pojęcia. A już o życiu ani zielonego, ani bladego. Co to jest życie? Nie wiem. Ze śmiertelną powagą mówię: nie wiem.

– O, Boże, człowieku, nie załamuj mnie. Nie widzisz, że jestem pełna najlepszej woli, a nawet ochoty? Tego też, głupku, nie widzisz? Co to jest życie? Który ty jesteś rocznik?

– Pięćdziesiąty trzeci – odparłem machinalnie i nie bez niesmaku; w końcu na okładkach moich książek data urodzenia przeważnie stała jak wół, a ta się dopytuje. Ani jednej nie miała w ręku? Czy jak? Przez chwilę zawahałem się nawet, czy nie unieść się honorem i nie zrezygnować, ale po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że jak akcja się powiedzie, to za nieznamość mojego dorobku będę ją karał napadami ekscentrycznej brutalności w łóżku.

– Bardzo ładnie. Pięćdziesiąty trzeci rocznik i o sens życia się dopytuje. Nikt cię do tej pory nie poinformował, biedaku jeden, na czym sens życia polega? Naprawdę nikt?

– Nikt. I czuję, że jak pani... Jak ty mi nie powiesz, to nie dowiem się nigdy i w nieświadomości umrę.

– Słuchaj, życie polega na znalezieniu odpowiedniej

proporcji pomiędzy pracą a wypoczynkiem. Rozumiesz? Rozumiesz, czy za trudne to jest?

– Jak idzie o pracę, to mniej więcej wiem, na czym to polega... A jak idzie o wypoczynek...

Musiąco zdradzić mnie spojrzenie, musiałem przez moment spojrzeć na nią ze zbyt ostentacyjną łapczywością, bo pokręciła z politowaniem głową.

– Wybacz, ale to jest zbyt jednostronna, za bardzo wyczerpująca i w sumie żenująca koncepcja wypoczynku. A co do pracy – przybrała po sekundzie złowieszczej ciszy ton pojednawczy, a nawet bardzo pojednawczy – a co do *pracy*, to nad czym, że pozwolę sobie na banalne pytanie urzeczonyj czytelniczki, mistrz obecnie pracuje?

– Bóg zapłać za urzeczenie. Przyjaznej ściemie żaden literat się nie oprze. Zwłaszcza w takim... zwłaszcza w twoim wykonaniu. Opowiadania teraz układam. Zbiór opowieści z innej parafii.

– Powieść mniej niż powieść, a tom opowiadań więcej niż tom opowiadań? – wypaliła znienacka.

Co ty rządzisz – pomyślałem w pierwszej chwili – co ty, cudowna ruro, rządzisz? Pierwsza chwila jednak minęła; po niej druga, trzecia, a może nawet czwarta i w kolejnej, nie wiem której z rządu, z wolna, bardzo z wolna – *langsam und trübe* – jęło do mnie docierać, że kto wie... Kto wie, jak dalekosiężny trafił się tej ślepej kurce – sekret warsztatowy.

II

Kiedy teraz odtwarzam i zapisuję naszą pierwszą rozmowę, z całą dobitnością rozumiem, że literatura nigdy nie nadąży za życiem. Nawet wiernie, słowo w słowo zapisana wymiana zdań, niczego nie mówi o istocie rze-



foto: Jacek Poremba

Jerzy Pilch (ur. 1952 r. w Wiśle), prozaik, publicysta. Laureat nagrody Fundacji Kościelskich (1989) oraz nagrody literackiej NIKE (2001). Opublikował m.in.: *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej* (1988), *Spis cudzołożnic* (1993), *Rozpacz z powodu utraty surmanki* (1994), *Inne rozkosze* (1995), *Tysiąc spokojnych miast* (1997), *Bezpowrotnie utracona leworęczność* (1998), *Pod Mocnym Aniołem* (2000), *Miasto utrapienia* (2004), *Narty Ojca Świętego* (2004).

www.jerzypilch.pl



Nowości i zapowiedzi
www.swiatksiazki.pl